

Rostaw Szaybo

Lubiłem Eryka

Byłem studentem na IV roku ASP i już w pracowni plakatu Henryka Tomaszewskiego wraz ze Stasiem Zagórskim (razem i osobno) zaczęliśmy odnosić sukcesy, wygrywając konkursy na plakaty. No i w związku z tym żyliśmy sobie całkiem dobrze.

Już nie w uczelnianej stołówce, ale w modnym domu architekta (SARP) na Foksal jedliśmy obiady, a kawę piliśmy opodal w kawiarni PIW-u. Naszym codziennie odwiedzanym pejzażem był „szlak” od ZAIKSu w Alejach Ujazdowskich, poprzez Foksal właśnie, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, ASP, „Bristol” aż do Starego Miasta. Na szlaku tym spotykało się lub znało z widzenia: aktorów, pisarzy, sportowców, malarzy ekscentryków i ludzi z tak zwanym kolorem. Tak więc z widzenia znałem Eryka.

Eryk był osobowością zauważalną i znaną. Miał niezwykle wdzięk, ciepły uśmiech, a w czasach braków ubraniowych nosił się z angielską. Pamiętam, zazdrościłem Mu marynarki „Harris Tweed”. Powodów do zazdrości mogło być i więcej! Eryk otoczony był z reguły atrakcyjnymi kobietami, które wyraźnie Go adorowały. Jego dowcip był legendarny, a najważniejsze, że zawodowo był w miejscu, do którego ambitni, młodzi studenci starali się dopiero dostać.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych poza „Przekrojem”, redagowany przez Lipińskiego tygodnik satyryczny „Szpilki” był niezwykle liczącym się czasopismem polskim – prawdziwą „instytucją”. Redakcja mieściła się w wygodnym topograficznie miejscu, na Placu Trzech Krzyży. Na wygodę składała się też kawiarnia „Lajkonik”, która położona była tuż obok, ze ścianami wymalowanymi przez stałych jej bywalców – karykaturzystów ze „Szpilek”. Eryk stale urzędował w „Lajkoniku” wyznając zasadę, że praca powinna być przyjemnością, a przyjemność – pracą. A wtedy i jednej i drugiej mu nie brakowało.

Moja osobista znajomość, a potem przyjaźń zaczęła się chyba w restauracji SARP-u, gdzie podawano najlepszą w Warszawie giczącą. Widząc Eryka nad kością, kłaniałem się, a On z uśmiechem się odklaniał. Pewnego razu zwrócił się do mnie po imieniu ze słowami: - Rostaw!! Znam Twoje prace z akademii, rozmawiałem z Henrykiem (prof. Tomaszewskim) i namawiam cię, żebyś wziął udział w konkursie ogólnopolskim na rysunek satyryczny o nagrodę „Złotej Szpilki”. Było to prawdziwe wyzwanie i wygrywając wtedy ten ważny konkurs stałem się tzw. „młodą krwią” wśród innych znanych i znakomitych rysowników „Szpilek”.

Oprócz niebanalnych dla studenta honorariów za rysunki, nagrodą również było miejsce przy stoliku, przy którym siadywali – znakomity Zaruba, elegancki Stonimski, Minkiewicz, Marianowicz i oczywiście Eryk. „Szpilki” znaczyły też moją dalszą z Nim przyjaźń wynikającą z tego, że nie istniało w tym czasie pojęcie – „generation gap”.

„Szpilki” - „Szpilkami”, ale z czasem my młodzi zaczęliśmy się fascynować plakatem. I dołączyliśmy do grupy wielkich i uznanych artystów jak: Tomaszewski, Fangor, Świerzy, Cieśliewicz, Lenica i Eryk Lipiński.

Wśród tych młodych był na przykład fantastyczny Zagórski, którego plakat do „Hiroshima mon amour” nawet po 45 latach wyglądałby nowatorsko na tle aktualnego, „komputerowego” Biennale w Wilanowie. Był świetny Zelek z „Ptakami” Hitchcocka, Urbaniec, no i ja z dwiema nagrodami Trepkowskiego i plakatem „Jazz 60”. Potem jeszcze dołączyli do nas Marek Freudenreich, Czerniawski, Pągowski i Dudziński. I tak w mojej twórczości rysunków satyrycznych było coraz mniej, a plakatów coraz więcej. Przyjaźń z Erykiem była jednak niezmienna. W 1966 wyjechałem do Anglii, jako uznany już młody grafik. W Londynie jednak to nic nie znaczyło, a wieści o „polskiej szkole plakatu” jeszcze tam nie dotarły. Oprócz chodzenia z rysunkami po różnych agencjach i wydawnictwach, miałem się też różnych dodatkowych prac. W Londynie w Polskim Klubie „Ognisko” na Exhibition Road, był długi korytarz, który (dla chleba!) dostałem do remontu. W czapce „napoleonce” zrobionej z londyńskiego „Dziennika Polskiego” zacząłem malować tam sufit. Żadna praca nie hańbi, ale poczułem się dziwnie, gdy nagle ukazał się Eryk Lipiński w drodze do sraczyka. Spojrzał z zainteresowaniem na robota na drabinie, wychodząc spojrzał raz jeszcze i poszedł sobie. Skończyłem pracę, umyłem się, przebrałem i poszedłem na górę, gdzie znajdowała się restauracja. W ogromnej sali, na samym jej końcu obiadał Eryk. Na mój widok zerwał się: — Rostaw! — wykrzyknął i przywitał się ze mną serdecznie.

Do dzisiaj nie wiem, czy Eryk nie skojarzył postaci z drabiny z moją osobą, czy też był wyjątkowo delikatny. W Londynie, gdzie mieszkałem i pracowałem, Eryk Lipiński bywał dość często, odwiedzając tam swoją córkę Zuzę. Wtedy też jadaliliśmy wspólnie w egzotycznych restauracjach, a On fascynująco opowiadał o swoim najnowszym dziecku – Muzeum Karykatury. Dziś właśnie ma tu swoją kolejną, tym razem jubileuszową wystawę. Ostatni raz, gdy spotkałem Eryka na ulicy, On – normalnie pełen życia i uśmiechu był skrzywiony i nie w sosie. — Co Ci jest Eryku? — spytałem. — Mam półpaśca! Bo na całego mnie nie stać! — odpowiedział.

LUBIŁEM ERYKA.